ROK VI. CHICAGO, dnia 17-go MAJA 1888. **No. 20**



Wychodzi raz na tydzień. Kosztuje rocznie $1.00. Dla tych co trzymają Gazetę Katolicką wynosi przedpłata roczna tylko 50 centów. Do Europy: z Gazetą $1.00, bez Gazety $1,50. Przedpłata musi być naprzód opłacana. — Pokwitowań nie ogłasza się.

Wszelkie listy i korespondencye adresować należy: All comunications must be adressed: } W. Smulski, 635 Noble str. Chicago, Ill.

Entered at the post office of Chicago Ill., as second class matter.

APROBATA.

Niniejszem udzielam aprobatę moją pismu „Dzień Święty" i zalecam takowe jak najgoręcej naszym Polakom-Katolikom.

Chicago, dn. 3. Stycznia R. P. 1883.

† P. A. FEEHAN,
Arcybiskup Chicagowski.

KALENDARZ TYGODNIOWY.

DNI:	KATOLICKI:	SŁOWIANSKI:
Czwartek, 17 maja	Paschalisa wyz.	Sławomir.
Piątek, 18 maja	Feliksa.	Wszesław.
Sobota, 19 maja	Piotra cel. i Iwona	Krzesomyśl.
Niedziela, 20 maja	Zielone Św. Bernardyna S.	Bronimir.
Poniedziałek, 21 maja	Heleny król.	Przesława błogosł.
Wtorek, 22 maja	Julii p. i m.	Wisława błogosł.
Sroda, 23 maja	Dezyderyusza m.	Budziwoj.

Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!

NA UROCZYSTOŚĆ ZESŁANIA DUCHA ŚW. CZYLI NA DZIEŃ ZIELONYCH ŚWĄTEK.

Ewangielia Ś. Jana w rozdz. XIV. od w. 23 do końca.

W owym czasie rzekł Jezus do uczniów Swoich: Jeźli mnie kto miłuje, będzie chował mowę Moję, a Ojciec Mój umiłuje go, i do niego przyjdziemy, i mieszkanie u niego uczynimy. Kto Mnie nie miłuje, mów Moich nie chowa. A mowa, którąście słyszeli, nie jest Moja, ale tego który mnie posłał, Ojca. To wam powiedziałem, u was mieszkając. Lecz pocieszyciel, Duch Święty, którego Ojciec pośle w imię Moje, On was wszytkiego nauczy, i przypomni wam wszystko, cokolwiek wam powiedziałem. Pokój zostawuję wam, pokój Mój daję wam. Nie jako dawa świat, Ja wam daję. Niech się nie trwoży serce wasze, ani się lęka. Słyszeliście, że Ja wam powiedziałem: Odchodzę i przychodzę do was. Gdybyście Mnie miłowali, radowalibyście się, iż idę do Ojca; bo Ojciec większy jest, niżeli Ja. I teraz powiedziałem wam pierwej, niż się stanie, abyście, gdy się stanie, wierzyli. Już wiele z wami mówić nie będę, albowiem idzie książę świata tego, a we Mnie nic nie ma. A iżby świat poznał, że Miłuję Ojca; a jako mi Ojciec rozkazanie dał, tak czynię.

Leki na strachy smiertelne.

Kto ich zażyje, ten się już nigdy śmierci bać nie będzie.

(Ciąg dalszy.)

Tam dalej siedzi jakiś Jegomość Dobrodziej z złamanym karkiem. Widzisz go? Dobre to panisko i poczciwiec wielki, który nie lubił się swarzyć i gniewać i nie lubił, gdy mu kto przychodził ze skargami. Jest to proboszcz żydowski — Heli. Siedzi sobie na krześle z wysokiemi poręczami, na których się dawniej tak wygodnie opierał. Kiedy mu donoszono o bezbożności jego rozpustnych synów, to mówił do nich: „Moje dzieci, bądźcie przecie ostrożniejsi i miejcie się na baczności; ludziom to byle co wpada w oczy; tak się nie należy." Ale że synowie starowiny nie słuchali, a ludzie coraz częściej i więcej skarzyli, to poczciwy Heli ludzi w końcu jeszcze wygadał i ofukał: „Dajcie mi święty pokój; zawsze tam coś macie z moimi synami; toć to jeszcze małe, więc głupie i nie można tak surowo z nimi postępować." Jego dwaj synowie teraz przemienieni są w dwie wielkie czarne żmije, które bez ustanku koło ojca się obwijają i duszą go i żgają dzień i noc. Na około niego roją się nieprzeliczone gromady rodziców, opiekunów, majstrów i tym podobnych, którzy z dziećmi postępowali tak samo jak Heli, to jest, którzy na wszystkie ich grzechy i złości milczeli, albo się im nie sprzeciwiali. Teraz te dzieci potępione z wyszłemi na wierzch oczyma potępionym swym rodzicom dolatują do twarzy i wołają: „tyś temu winien, tyś winna, tyś winien" i buchają ogniem na ojca, matkę lub nauczyciela.

Teraz idzie jakiś wielki pan z niepewnym, lękliwym wzrokiem. Dziwisz się pewnie, dla czego ma przy sobie miednicę pełną wody? Nie pije on tej wody, ale chciałby nią jak najprędzej zmyć krwawą plamę na rękach swoich. Już przeszło 1800 lat zmywa i ściera, a plamy zejść nie chcą. I dla tego cały jest w rozpaczy i w zapamiętaniu. Nie znasz go? Toć jego imię co dzień kilka razy wymawiasz w pacierzu. Jestto Ponstki Piłat. On tylko raz czegoś zanie-

dbał, to jest, kiedy był sędzią, zaniedbał wyrwać z rąk chciwych krwi Żydów Sprawiedliwego; nie zajął się dość gorliwie P. Jezusem, aby nie sprowadzić sobie nieprzyjemności ze strony Żydów i nie popaść w niełaskę swego cesarza. Na około niego siedzą radzcy, urzędnicy, ministrowie, deputowani z różnych narodów i różnych czasów, z których jedni, aby u królów i książąt, drudzy aby u ludzi nie popaść w niełaskę i nie zasłużyć sobie na naganę, milczeli i zezwolili tam, gdzie dla sprawiedliwości nie powinni byli milczeć i zezwalać. Siedzą na około Piłata, patrzą na niego dzikim wzrokiem, jak się myje, i czekają, czy plamy te z rąk jego nie zejdą, boby potem chcieli, jeden za drugim swą winę, która ich pali, jak rozpalone węgle, także zmyć w miednicy Piłata. Aleć Piłat dotąd jeszcze plam swych nie zmył i nie ma też nadziei, aby kiedykolwiek krew tę z rąk swoich starł, a ci muszą całą wieczność w mękach czekać, a wina ich ciągle pali i pali.

Na szerokiem, pustem polu, na którem nie widać żadnego drzewa, ani roślinki, stoi jakiś barczysty tęgi parobek, tłusty na twarzy, ręce miękkie i delikatne jak pierzyna z puchu. Stoi tam w koszuli, nie ma żadnego porządku w ręce do roboty, ziemia mocno zmarzła, ciemna noc naokoło: i oto mu kopać rękami i sadzić rękami, jeżeli chce mieć odzież i pożywienie. Dobra pora roku i dzień pogodny już przeminął, i tam gdzie stoi, nigdy już światło nie zaświeci i nigdy ciepło nie zawita. Dla tego też ostrość głodu i zimno nieznośnie mu dokucza i kopie rękami w ziemi przez całą wieczność i nic wydobyć z niej nie może. Jest to ten sługa, który za życia talent od pana otrzymany w chustkę zawinął i w ziemi zakopał, bo nigdy nie chciał się przy pracy zagrzać i zapocić.

Jak daleko i szeroko zajrzysz okiem, widzisz stojące niezliczone tłumy ludzi, każdy na swoim kawałku roli, których podobny los spotkał, jak owego sługę, bo podobnie jak on sobie postąpili. Wszyscy też stają jak on nago albo w koszuli, ale jeszcze można poznać po resztce szmaty, n. p. po kapeluszu, że niegdyś na świecie żyli w dostatkach i zbytkach

Oprócz traktowania wspólnego z owym sługą, każdy jeszcze dostaje osobną porcyą, według swego stanu. Na ten przykład kapitaliści, czyli ci, co mieli wiele pieniędzy i je wypożyczali na wielkie procenta i nic na świecie nie robili, jeno ściągali prowizyą od swych pieniędzy i te marnowali i przepijali, ci wszyscy mają na czole wypalone okrągłe kółko i co dzień dostają własnym kijem 25 razy na podeszwy nóg i 25 na tłuste i miękkie jak aksamit swe ręce. (Przy tej sposobności muszę ci nadmienić, że w piekle jeszcze nie zniesiono kary cielesnej, podobnie jak u Moskala. We Francyi, Anglii, u Prusaka to już temu dość dawno jak nikomu batów i pałek nie dają.)

Tam są burmistrze, którzy swoich obowiązków, nie przynoszących dochodów nie wypełniali, ale je zostawiali dla następców, którzy nieprawych małżeństw nie rozganiali, którzy nic nie chcieli wiedzieć o grach po szynkowniach i bijatykach, a mianowicie w niedziele i święta, za zaniedbywanie szkoły i nauki religii nie karali. Dalej są tam urzędnicy, którzy dla swej wygody i aby sprawa szła prędzej, niepotrzebne przysięgi przy byle jakiej drobnostce nakazywali, albo też dla swej wygody niewinnych przez całe tygodnie trzymali w więzieniu, a prowadzenie procesu na długi czas odkładali. Wielu z nich udawając, że są dobrymi chrześcianinami, starali się o urzędy i piastowali je, a przez cały rok nic chrześciańskiego nie pokazywali na sobie i nic chrześciańskiego nie czynili, tak że niekiedy ten i ów głupi szewczyk lub krawczyk albo golarz myślał, że aby uchodzić za mądrego lub za pana, trzeba nietylko sprawić sobie piękny sukienny surdut i w świecących chodzić butach, ale nawet nie uczęszczać wcale do kościoła, tak że niejeden taki mądry i panek co do ubioru i co do religii swemu golarzowi, a golarz swemu panu w niedzielę był jako kropla wody całkiem podobny. Ci tedy ludzie, którym wywietrzała religia, jak w końcu Salomonowi mądrość wywietrzała z głowy, teraz dzień po dniu odprawiają długie procesye porówno z wszystkimi tymi, których złym swym przykładem uwiedli, i szukają bramy do nieba. Ale ponieważ przedsionkiem nieba jest kościół, a

oni kościoła unikali, to szukają napróżno, szukają, aż się pocą po całem ciele, i załamują ręce i pukają w rozpaczy, czy im gdzie nie otworzą. Ale wszędzie tylko zimne mury; wszystko daremnie -- nigdzie nie chcą im otworzyć. — Jest tam dalej wiele nauczycieli, którzy sobie kazali za życia mówić: panie dyrektorze, albo panie profesorze. Wiele chałasów i krzyków robili, podawali prośby, aby nauczyciela ludu więcej szanowano i większą mu płacę dawano i że nauczyciel nikomu a nikomu, niech on będzie kto chce, nie powinien być podległym. Ale cóż? kiedy przytem w szkole byli ślepi, głusi, ospali, a jeśli dziecko na examinie nic nie wiedziało, co tam nauczyciel, (albo kiedy już tak ma być) co tam profesor niezręcznie i niewyraźnie podpowiedział, to za to potem dostało surową karę i nie jedna trzcinka się na niem połamała. Insi uciekali się do różnych sztuczek i różnych oszukaństw się dopuszczali, aby ten, co to szkoły objeżdża i i ogląda, nie spostrzegł, jak licho i nędznie stoi z ich szkółką. Tych teraz wielki nauczyciel-djabeł ćwiczy i z różnych nauk uczy, tylko szkoda że tam cienkiej nie używają trzcinki. Dalej widzisz tam w piekle wielu takich, którzy za życia ciągle na przechadzki wychodzili, ustawicznie siedzieli przy kartach za stołem, którzy jeździli do wód, a mianowicie panowie i panie z Polski i zkąd inąd jeszcze. Ci co rok jeździli do wód, aby drogie swe ciało wymyć i aby wypocząć sobie po ogromnem próżnowaniu w zimie. Tu teraz leżą w kałużach błota i siarki, a co najgorsza to to, że ta siarka pali i parzy, a bólów nie odpędza. — W środku między nimi, jakby z tymi panami byli po równości, tłoczą się rzemieślnicy, czeladnicy, wyrobnicy, służący, którzy wszystkiem innem się trudnili, jeno nie pracą. Ale już się nad nimi nie będę zastanawiał: napiszę ci jeno jeszcze co nieco o pewnej klasie ludzi, których tam w piekle we śnie moim widziałem. Są to bardzo uczciwi, spokojni ludzie, którzy nigdy po sądach się nie włóczyli, nigdy nie byli widziani w karczmie, wielcy poczciwce, jak się patrzy. Każdy z nich z osobna, jest w klatce zamknięty a czarna płachta okrywa ją do koła, tak iż nic nie widzą. Żaden człowiek ani żaden djabeł się tam o

nich nie troszczy i nie zagląda do nich. To są ludzie, którzy bardzo uczciwie i obyczajnie żyli, którzy w każdą niedzielę szli na ranną mszę, każdego roku byli na Wielkanoc u spowiedzi, którzy swego dobytku troskliwie pilnowali, nikomu nie wchodzili w drogę i z nikim się nie wdawali. Nie kłopotali się o nikogo, chyba tylko o swój dom, nikogo oprócz siebie nie kochali i nikomu nic dobrego nie wyświadczyli. Za to kochali siebie z całego serca, z całej duszy i ze wszystkich sił swoich. Prosił ich kto o jaką pomoc, to odmrukli gniewnie: „Patrzcie, gałganiska chcą też tak sobie pozwalać jak my" — obrócili się tyłem i — składali na kupkę wiele pieniędzy tak, iż po ich śmierci wiele bogactwa zostało. No, teraz już dam pokój, na tem będzie koniec.

To, com ci tu powiedział i pokazał, to mi się, co prawda to prawda, tylko tak śniło, i to wszystko jakbym jeno przez sen widział. Ale i w tem jest zawarta wielka i szczera prawda i rzeczywistość, i nie jest próżną marą, ale mocną na wieki trwającą prawdą, co sterczy jak ta góra, kiedy mgła z jej wierzchołka opadnie. Prawdą jest, że ci wszyscy, których ci pokazałem w piekle niejako przez dziurkę od klucza, nie ostoją się przed Bogiem, a po za tą prawdą jest jeszcze drugą, że na tym świecie nie jesteśmy na to, abyśmy nic nie robili i tylko próżnowali. Kto na ziemi wedle sił nie pracuje, albo tylko dla siebie i swoich pracuje, dla swej przyjemności korzyści lub chwały, ten jest złym sługą. I kiedy ten wielki gospodarz nieba i ziemi będzie dnia jednego wypłacać, to takiego sługę każe wrzucić w ciemności zewnętrzne, gdzie będzie płacz i zgrzytanie zębów. Jeśli mi nie chcesz wierzyć, to zobacz w Piśmie ś. u Łukasza ś. w rozdziele 19, wierszu 20.

Uwaga i ostrzeżenie. Nie bądź przecie głupi i lekkomyślny. Byłbyś zaś głupim i złośliwym, gdybyś to, com ci tu napisał, tak miał rozumieć, jakoby ci panowie, bogacze, czeladnicy, golarze, nauczyciele, wszyscy byli niepotrzebni, albo przynajmniej większa ich część. W każdym stanie są poczciwi ludzie, choć się też i tacy znajdą, którzy nie pamiętają o swych obowiązkach. Pan Bóg już będzie umiał ich poznać i wybrać, a o tobie też na ostatecznym sądzie nie zapomną. Spamiętaj to sobie dobrze. Słyszysz?

Ciąg dalszy nastąpi.

SAWA.

Wiemy z pisma świętego, a i księża nauczają po cerkwiach i kościołach, że pan Bóg w swej mądrości nieprzebranej zwykł często ciężkie nieszczęścia zsyłać na swych ulubieńców, aby ich wypróbować w cnocie i umocnić na dobrej drodze. Jak żelazo hartuje się w ogniu, takci oni przez niedolę mają się hartować w cnocie i bojaźni Bożej.

Musiał też Pan Bóg wiele miłować naszę ojczyznę Polskę, bo i na nią bez przyczyny ciężkie zesłał próby. Chytry Moskal kopał dołki pod nią i zastawiał sidła na jej mienie, a ona długo się nie spostrzegła i nie opamiętała, a kiedyć wreszcie chwyciła za oręż, to już za ciężko było na jej siły. Moskal jak wilk w baraniej skórze niby po przyjaźni wszedł do kraju i osadowił się po grodach i miastach, a potem chciałci już być panem jak w własnym domu.

Powoli zaczęły się naszym otwierać oczy, a między tymi, co pierwsi furknęli ostrem żelazem nad karkiem Moskali, był też nasz Rusin Sawa. Ej człek to był wielki i wspaniały, że aż serce się raduje wspomnieć o nim. Urodził się z prostego chłopa na Ukrainie w czehryńskiem starostwie, za młodu służył za kozaka po dworach i panom na uciechę grywał na bandurce i śpiewał różne spiewki ukraińskie a potemci od razu zabłysnął jak gwiazda w narodzie i największych magnatów prześcignął w znaczeniu.

Właśnie kiedy rozpoczął się na ostro taniec z Moskalami, był Sawa starszym nad dworskimi kozakami u pewnego wielkiego pana polskiego, co się zwał Działyński. Jużci dawno przestał grywać na bandurce, a natomiast wywijał szablą i furkał dzidą jak wrzecionem. Okrutnie go jednak serce bolało, kiedy patrzył, co się dzieje w ojczyźnie.

— Ej, żeby jeno sposobność — mówił do siebie i czekał.

Sawa był Rusinem, kozakiem z Ukrainy, aleć wiedział, że Polak i Rusin to wszystko jedno, obaj jak dwaj bracia bliźniaki od wieku wieków trzymają się razem, boć jednę i

tę samę mają ojczyznę matkę i jednaką duszę i jednakie serce dał Bóg obydwom.

Toż gorąco wyglądał Sawa, kiedyby mógł zajrzeć w ślepie Moskalom, co zdradą ohydną chcieli się zagospodarować w polskiej ziemi.

Aż też niebawem trafiła się okazya. Dowiaduje się Sawa, że tuż w pobliskości uciekają Moskale, co przegrali bitwę z Polakami. Więc też nie traci czasu, jeno co tchu zwołuje swoich kozaków i jak nie przemówi do nich do serca, tak wszystkim krew zakipiała w żyłach, wznoszą szable w górę i przysięgają, że za matkę Polskę pójdą w ogień z nim razem.

Nie wiele ich było liczbą, bo ledwie półtrzecia sta wszystkiego, aleć każdy z nich starczył sam jeden za dziesięciu Moskali, tacy byli chłopi dziarscy i tędzy. Sawa prowadzi siłę w zasadzkę, zaczaili się cicho z pikami, a tu niespodziewając się niczego suną Moskale. Ej taniec-że się rozpoczął taniec, jak narazie wypadł Pan Sawa. Furczą spisy w powietrzu, łyskają szable do słońca, a Moskale walą się na ziemię jak trawa. Nakłuli się tego kozacy, co niemiara, zabrali wszystkie armaty, i samego moskiewskiego jenerała księcia Sołtykowa chwycili za kołnierz.

Zaraz też po tej jednej potyczce gruchnęło po całej Polsce, co to za chwat ten pan Sawa i jużci że wszystkich stron garną się junaki, a proszą, by ich jeno prowadził na wroga. Kupa wojska zebrała się już pod panem Sawą, a on jak zaczął, tak i dalej kropi a kropi Moskali.

W miasteczku Zakroszynie zebrali się panowie, najpierwsi magnaci i radzą kogo, obrać za swego marszałka, to jest za najstarszego do wojny z Moskalami, i wszyscy wołają jednomyślnie:

— Pan Sawa niech będzie, pana Sawę prosimy!

A Sawa się składa i prosi.

— Bójcie się Boga panowie — mówi — jam prosty chłop kozak, jakże ja wam panowie mogę być starszym!

Nic nie pomogło, musiał być marszałkiem. I pewnie nie mieli czego żałować, że poddali się pod jego rozkazy.

Zalał on gorącego sadła za kark Moskalom i takim się stał dla nich postrachem, że już im dusza była na ramieniu, jak jeno posłyszeli o nim.

A miał takie osobliwe szczęście ten pan Sawa, że rzucał się zawsze, gdzie kule najgęstszym padały gradem, a żadna go nigdy nie trafiła. Jak rzeszoto nieraz podziurawiły kule burkę i kozacką czapkę na głowie, ale ciała nie tknęła żadna.

Myśleli Moskale, a nawet i wielu ze swoich, że pan Sawa jest czarownikiem i że umie zamawiać kule, a ztąd żadna go się nie imie, choćby nie wiedzieć co. Dowiedział się pan Sawa o tej pogłosce i bardzo się tem zafrasował, boć nie był on żadnym czarownikiem i w żadne z złym duchem nie wchodził konszachty, jeno widocznie już taka czuwała nad nim łaska Boża. Uwziął się zatem przekonać ludzi, że i jego jak każdego innego może trafić kula i pchał się umyślnie, gdzie największe było niebezpieczeństwo. Ale czyto już taka była wielka łaska Boża, czy też Moskalom trzęsły się ręce ze strachu, jak go obaczyli, dość, że zawsze kule świstały koło niego jak grat najgęstszy, a o niego ani jedna nie zawadziła.

Aż też pewnego razu, kiedy już zanadto próbował łaski nieba, trafiła go armatnia kula w udo, że aż spadł z konia.

— Widzicie — zawołał zaraz na swoich — żem nie żaden czarownik!

I choć mu rana wielką sprawiła boleść, ucieszył się nią jakby jakiem szczęściem wielkiem. Aby jednak nasi nie stracili ducha w bitwie, nie chciał w żaden sposób ustąpić z pola. Nie mogąc usiedzieć na koniu, kazał się włożyć w kołyskę i przywiązać między dwa konie, na których jego najwierniejsi siedzieli kozacy i takci prowadził naszych aż do końca bitwy. Za mocno się natężał i szamotał, więc do reszty opuściły go siły.

Przestraszyli się okrutnie Polacy i odwieźli chorego Sawę do najpierwszego domu w pobliżu, aby tam opatrzyć jego rany i mieć o nim staranie. W domku tym mieszkał niejaki pan Kleczkowski, podleśny mszczanowskiej puszczy,

a ten od rozumu odchodził, jak obaczył ranionego Sawę i sam nie wiedział, jakby tak wielkiego człeka przyjąć w swym domu i jakieby mu dać wygody. Wyprawił zaraz w skok po cyrulika w Mszczanowie, a tymczasem pan Sawa przyszedł do siebie i jak przyjechał cyrulik, to pokazało się, że rana nie była tak niebezpieczna i że za kilka tygodni będzie ją można wyleczyć całkowicie.

Alećna nieszczęście inne w ciągu tego czasu zaszły rzeczy. Moskale dowiedzieli się, że pan Sawa ranny i napowrót nabrali ducha, a nasi potrasowani nie nacierali już tak dzielnie jak wprzódy, toż jak w palce trzasł, zmieniło się szczęście. Zaczęli się cofać Polacy, a Moskale zajęli Mszczanów i stanęli zaledwie a pół mili od tego domku, gdzie leżał chory pan Sawa. Onci z każdym dniem coraz więcej przychodził do zdrowia, lecz zawsze jeszcze nie mógł się obejść bez cyrulika.

Moskale wyszpiegowali, że cyrulik codziennie wychodzi z miasteczka i idzie do domu podleśnego w mszczanowskiej puszczy, więc jak zaczęli szperać, wąchać, wietrzyć, tak dowiedzieli się wszystkiego. Szlą też zaraz hurmę dońskich kozaków, aby otoczyć domek i złapać Sawę, który im tylekrotnie wygarbował skórę.

Przypadają kozacy i w jednem okamgnieniu obskakują dom naokoło. Sawa zerwał się z łóżka, ale że nie mógł utrzymać się na nogach, więc siadł jeno na krzesło i z pistoletem w ręku czekał Moskali. Wchodzi moskiewski oficer do pokoju, a on woła:

— Kto do mnie przystąpi, temu w łeb strzelę.

Moskale co tchu za drzwi i żaden nie waży się ani nosa wściubić do izby; lecz jeden się namyślił i kazał dom podpalić na cztery rogi. Rad nierad musiał się kazać wynieść z pokoju Sawa, a jak tylko go obaczyli Moskale, więc zaraz starszy ich podsuwa się do niego i kiepkuje sobie niecnota.

— *Aszto mospanie tepier się zdajesz.*

A pan Sawa wyciągnął pistolet i pal mu w łeb, że mu się rozleciała czaszka jak stary czerep.

— Tak się Sawa poddaje! — zawołał.

— *Zakoli jeho* — krzyknął inny moskiewski oficer na

swoich, a ze stu Moskali rzuciło się na niego i jęło go kłuć spisami i rąbać szablami.

Zastawiało biednego Sawę jego dwóch wiernych kozaków i jeden ze szlachty, co go nie odstępował w chorobie, ale też nie pomogło, bo Moskale zakłuli kozaków i temu szlachcicowi rozłupali głowę i teraz zaczęli się pastwić nad Sawą, kiedy nieborak nie mógł się bronić.

Byliby go psubraty zabili na miejscu, ale starszy oficer nie kazał, bo spodziewał się większej nagrody od jenerała, jak żywcem odstawi tego tak strasznego dla Moskali wroga.

Przywiedli tedy Sawę wraz z owym ranionym szlachcicem do Mszczanowa, gdzie stał moskiewski jenerał Połapów. Tenci się bardzo ucieszył, jak obaczył Sawę w swojej mocy, ale widząc, że tak okrutne cierpi boleści, zmiękł trochę w swojem twardem sercu i zabronił już więcej pastwić się nad nim.

Sawa czuł, że mu już duch ucieka z piersi, więc prosił tylko, by się mógł wyspowiadać. Zawołano księdza i Sawa przygotował się na śmierć po chrześcijańsku, a potem rzekł do księdzia i tego szlachcica, co go nie odstępował:

— Widzę, że już i godzinę nie pożyję, więc też bywajcie, mi zdrowi a powiedzcie przed ludźmi, że mi wcale nie markotno umierać. Umieram za ojczyznę, a to śmierć najsłodsza ze wszystkich na ziemi, najmilsza także Bogu na wysokościach a najprościej prowadzi do nieba.

Dałci im jeszcze polecenie do żony, krewnych i przyjaciół a potem prosił wody. Chciał pić nieborak, ale nie mógł już przełknąć przez gardło. Wywrócił oczy, zacisnął zęby i ta jego wspaniała jednako Bogu i ludziom miła dusza uleciała w niebiosa.

Wieść o jego śmierci gruchnęła po kraju i żal był i smutek gorzki po pańskich pałacach i mieszczańskich domkach i wieśniaczych chatach. Straciła Polska mężnego i wielkiego człowieka, kiedy go najbardziej potrzebowała i ta tylko została nam pociecha, że choć Sawa zginął, to nasza ziemia jest tak wielka i błogosławiona od Boga, że w potrzebie znajdzie się pewnie drugi taki Sawa. Tymczasem atoli cześć i sława niech będzie pierwszemu.

Historya o Rzymskich Papieżach.

Ciąg dalszy.

Cesarz Gallienus nie utrzymał się długo na tronie, bo już w roku 268 został zamordowany pod murami Medyolanu. Poczem wojsko ogłosiło cesarzem Klaudyusza, który zaraz wyruszył w pole przeciwko barbarzyńskim Gotom, którzy ciągnęli do Rzymu, ale zostali pobici i zmuszeni do odwrotu. Cesarz Klaudyusz miał na myśli zupełne zniszczenie chrześciaństwa i za jego rządów rozpoczęło się znów krwawe prześladowanie. Wielu chrześcian odniosło palmę męczeńską.

Tymczasem prześladowanie to nie trwało długo, albowiem cesarz Klaudyusz umarł w r. 270. Teraz Aurelian został cesarzem rzymskim i wkrótce silną dłonią zaprowadził porządek i państwo rzymskie podniósł do dawniejszej potęgi. Położył koniec państwu Palmiry a księżnę Zenobię wziął do niewoli. Potem miał w Rzymie tryumfalny pochód, podczas którego można było widzieć niezmiernie wielkie bogactwa. Księżna Zenobia pieszo musiała iść obok powozu kosztownego, na którym sama chciała w tryumfie do Rzymu wjeżdżać. Miała na szyi złoty łańcuch jako znak poddaństwa i szła pochylona pod ciężarem bogactw. Gdy tak Syrya z miastem Antiochią napowrót przyszła pod ponowanie rzymskie, wniesiono kwestyą sporną o mieszkanie biskupie w Antiochii, którego kacerz Paweł nie chciał opuścić, przed cesarza Aureliana do roztrzygnięcia. Cesarz ten roztrzygnął, ,,iż mieszkanie kościelne w Antiochii temu ma być oddane, któremu je dadzą chrześciańscy biskupi we Włoszech i kogo na to miejsce przeznaczy biskup miasta Rzymu.“ Jak powiada Euzebiusz, Paweł ze Samosaty na rozkaz cesarza na większą hańbę przez władzę świecką został wypędzonym z biskupstwa. Jeżeli się trochę zastanowimy nad tem zdarzeniem, to zobaczymy, że mamy przed oczyma w trzecim wieku pierwszy przykład, iż świecka władza opiekuje się kościołem katolickim. Przez 200 lat istniał kościół wbrew wszelkim prawom świeckiego państwa, przetrwał wszelkie prześladowania, nie doznając żadnej sprawiedliwości a cza-

sem tylko krótkiego wytchnienia. Rozszerzył się po całej znanej wtenczas ziemi, papieże i biskupi w nieprzerwanym szeregu następowali po sobie począwszy od Apostołów i pokazało się jasno, iż ani potęga ani mądrość ludzka, ale ręka Boża Kościół prowadziła i wśród wszystkich wewnętrznych i zewnętrznych niebezpieczeństw i cudownie był zachowany. A teraz się nawet zdarza, iż pogański rzymski cesarz w rzeczy w sobie amło znaczącej wydaje sąd sprawiedliwy na korzyść biskupstwa kościoła katolickiego w dalekiej Syryi i ten wyrok cesarski jest bardzo wielkiej wagi. Niezawodnie powiedziano cesarzowi pogańskiemu, że biskupi zebrani na soborze w Syryi Pawła ze Samosaty zrzucili z biskupstwa i nic mu nie mogło leżeć bliżej na sercu jak wydać taki sąd, iż biskup potępiony ma się poddać wyrokowi biskupów na soborze zebranych. Sąd jego wprawdzie tak nie brzmiał, on raczej tę sprawę daje papieżowi do roztrzygnięcia, albowiem biskup Rzymu z biskupami włoskimi miał roztrzygnąć, kto miał wziąść w posiadanie kościelne budynki w Antiochii. Jeżeli się teraz zapytamy, zkąd cesarz pogański do takiego wyroku przyszedł, to inaczej na to odpowiedzieć nie można, jak to iż on także wiedział, iż bez zezwolenia Papieża żaden sobór istnieć nie może i że Papież jest najwyższym sędzią wszystkich chrześcian. Widzimy z tego zdarzenia, iż wtenczas nawet poganie wiedzieli, iż biskup Rzymu zabiera pierwsze miejsce w kościele.

Na ten niedawno wspomniany sobór w Antyochii był zaproszony także biskup Dyonizy Alexandryjski, ale dla podeszłego wieku nie mógł nań przybyć ale natomiast posłał list wymierzony przeciwko tej fałszywej nauce. Podczas tego soboru umarł biskup Aleksandryjski, tak samo stracił kościół przez śmierć Grzegorza Cudotwórcę a w roku 272 umarł także i papież Dyonizy zasiadając na stolicy papieskiej 11 lat 3 miesiące i 14 dni. To był pierwszy papież, którego można liczyć nie do męczenników, lecz do wyznawców ponieważ 25 jego poprzedników umarło albo gwałtowną śmiercią albo wskutek cierpień, które musieli ponosić za wiarę katolicką. Podczas swego panowania Papież Dyonizy wyświęcił 12 ka-

płanów, 6 dyakonów i 7 biskupów dla różnych dyeceyzi. Został pochowanym na cmentarzu św. Kaliksta, gdzie prawie wszyscy jego poprzednicy spoczywają.

Ciąg dalszy nastąpi.

CO SIĘ STAŁO W POLSCE.

OD PIERWSZEGO JEJ ROZBIORU, AŻ DO KOŃCA WOJEN ZA CESARZA NAPOLEONA.

Ciąg dalszy.

Zdrajcy Ojczyzny ukarani.

Tymczasem w Warszawie zamknęli do więzień tych wszystkich wyrodnych Polaków, co ich byli znaleźli spisanych u posłannika moskiewskiego, jako byli zaprzedani Moskwie, a dowiedziawszy się o wieszaniu w Wilnie, zaczął się Lud dopominać i o tych ukaranie. Stawiano więc po kilka razy szubienicę i wieszano spodlonych Polaków. Nie wszystkich jednak, co zasłużyli, bo Branicki, Poniński, Szczęsny Potocki, i Rzewuski osiedli sobie w Petersburgu. Ale powieszono Biskupa Massalskiego i Biskupa Kossakowskiego, co to okadzał brata, a w Grodnie na spółkę z Biskupem Massalskim wszystkich zwolnił od przysięgi, byle jeno rozbiór podpisali. Ankwicza, co to pierwszy w Grodnie na sejmie przemówił, aby milczenie posłów chcieli obadwa uważać za zezwolenie rozbioru Polski. Dwóch hetmanów, to jest Litewskiego i Polskiego, a zwali się Ożarowski i Zabiełło, książęcia Czortwetyńskiego, wszystko niegodnych Targowiczan. Biskup z Chełmna Skarszewski i marszałek koronny Moszyński, już stali pod szubienicą, ale na proźby prezydenta Zakrzewskiego odprowadzono ich do więzienia, bo nie dosyć było dowodów na ich zbrodnie.

Powieszono jeszcze wielu zdrajców i szpiegów z prostego Ludu płatnych od Moskwy, których rejestr byłby długi, bo coś około 30. Tu są wypisani jeno ci, co zasiadali w sejmach i na wysokich urządach i tam Ojczyznę zdradzali. — Na nich to się to sprawdziło: że Pan Bóg nie rychliwy, ale sprawiedliwy.

Na odgłos tego wieszania król Poniatowski, który zawsze siedział w Warszawie, miał strachu, co nie miara: przejeżdżał on się często po mieście, kłaniał na wszystkie strony, i rozdawał co jeno miał, bo czuł, że mu się sprawiedliwie szubienica należy. Ale znać go Pan Bóg chciał inaczej ukarać i nie podał na to Narodowi myśli.

O uczciwym postępku Książęcia Józefa Poniatowskiego i o cnotliwym Ignacym Zakrzewskim.

Książe Józef Poniatowski przyjechał do Kościuszki i prosił go, że chce pod nim służyć choćby i za prostego żołnierza, byle się jeno bić za Ojczyznę. Ale Kościuszko znając jego odważne serce, zrobił go napowrót Jenerałem. Bił się też książe Poniatowski przez cały czas bardzo walecznie, i o ile stryj jego był pogardzony, o tyle on kochanym od Polaków. Wojsko Polskie zbroiło się teraz w strzelbę, którą znaleźli w zbrojowni Warszawskiej i po zabitych Moskalach — samych armat przeszło sto w Warszawie było. Robiono też broń, proch, lano kule po wszystkich stronach, gdzie się jeno Insurekcya szerzyła. Zasiadł też w Warszawie rząd, jako w stolicy całej Polski z poręki Kościuszki, a nazywał się Radą Najwyższą. Był on złożony z 18. cnotliwych Polaków, a oprócz Ignacego Potockiego i księdza Kołłątaja był na czele tego rządu Prezydent miasta Ignacy Zakrzewski rodem z Wielkopolski, którego Lud swoim kochankiem nazywał. Bo też z każdym podzielił się czem mógł, tam szedł z radą, tam z pomocą, czego kto potrzebował. A pamiętali mu wszyscy, jak po sejmie konstytucyjnym, kiedy się Lud garnął do broni, i wiele go stało w obozie pod Warszawą, aby się złączyć z wojskiem księcia Józefa Poniatowskiego, iść na wroga. Król umyślnie trzymał ich tam o głodzie, żeby uciekali; wtedy to Zakrzewski choć sam nie bogaty, zakupuje tysiące bochenków chleba, mięsa i soli, a śle do obozu i ratuje Lud od hańby uciekania.

O przegranej bitwie pod Szczekocinami i o mężnej obronie Warszawy.

Skoro Warszawa była wolną, wzięła się też zaraz do sy-

pania okopów, bo Moskale i Prusacy ciągną na nią z wielkiem wojskiem, a Kościuszko zbiera wojska, co może i spieszy na pomoc. Spotykają go Moskale przed Szczekocinami. Wódz Polski śmiało im stawia czoło. Żołnierze i Lud uzbrojony w kosy i piki cudów tu dokazują, tak strzelają, rąbią i sieką Moskali. Wszyscy pewni zwycięstwa, i dziwno im, że Moskal jeszcze nie uchodzi, aż oto z boku nadciąga 20 tysięcy Prusaków, a na czele mają swego króla. Widzi Kościuszko, że ich nie pobije, bo Lud zmęczony całodzienną bitwą, a tu żołnierz pruski świeży, a do tego trzech na jednego Polaka. Rznie się więc wódz Polski ze swojem wojskiem przez nich, rąbie i strzela, a choć placu nie otrzymał, ale im trupa nakładł i dotarł do Warszawy. Bitwa pod Szczekocinami przypadła 6. Czerwca.

Zaraz też ciągnął pod Warszawę król pruski w 50 tysięcy swego wojska, a 9 tysięcy Moskali, i obległ naszą stolicę. Ale był już w niej Kościuszko, więc miasto śmiało czekało na wroga. Wszystko, co żyło, brało się do obrony — najpierwsze szlacheckie i miejskie panie, zakonnicy i najstarsi urzędnicy: każdy biegł za miasto, a tam chwycił za szpadel albo tarczki, a sypał i woził ziemię, co sił starczyło. Drobne dziatki nawet nosiły w chusteczkach i fartuszkach ziemię, i zbierały kule, które z pruskiej broni do miasta wpadały. Mężczyźni zaś bez wyjątku z jakiego kto stanu, uzbrojeni wypadali nocami z miasta, niepokojąc nieprzyjaciela, a wojsko na czele z Kościuszką raz po raz dobrze go potrzepało. Król pruski kazał puścić przeszło tysiąc bomb do miasta, a granatów wsypać niezliczoną moc. Ale opatrzność osłaniała tą razą Warszawę, że prawie żadnej szkody nie poniosła. Przez dziewięć tygodni broniła się tak nasza, stolica w obozie pruskim, choroby się zagęściły, umyślił więc król pruski jeszcze większe siły zabrać i tak uderzyć na Warszawę, aby ją koniecznie zdobyć. C. d. n.

Najświętszym obowiązkiem każdego człowieka jest miłość ojczyzny czyli tej ziemi, w której ujrzał po raz pierwszy światło dzienne, w której się wychował a która przechowuje w swym łonie drogie ojców popioły.

Henryk Schmitt.